Alicja Lisiecka

Pokolenie "pryszczatych"

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 55/4, 367-391

1964

ALICJA LISIECKA

POKOLENIE „PRYSZCZATYCH"

„Pryszczaci" — ta nazwa wywoła wiele sprzeciwów. Jest szokująca, jak „sankiuloci" albo „wściekli", i jest metaforyczna, jak „*beat generation*", „pobite pokolenie". Zostańmy przy niej — po latach utraciła swój dosłowny sens, nabrała wymowy moralno-politycznej. Cóż w końcu bardziej jednoznacznego niż symbol chłopca w czerwonym krawacie, z wysypką „wieku dojrzewania" na twarzy, naganem w jednej kieszeni i książką Marksa w drugiej. Jest w tym cała historia, portret duchowy powojennego pokolenia pisarzy — tych, którzy jedną ręką przeprowadzali reformę rolną, drugą chwytali za pióro, żeby tej reformie służyć.

Mają dziś 35—40 lat. Kim byli u progu nowego dwudziestolecia? Grupą artystyczną, zespołem redakcyjnym, frakcją ówczesnego Związku Literatów? Co ich łączyło? Więzy towarzyskie i przyjacielskie, ideologia, ambicja, namiętność do polityki, kult Borowskiego, legenda ZSRR? Co z ich wierszy i powieści dziś zostało? Ile z nich ma wartość tylko dokumentacyjną, socjologiczną, a ile już literacką? Gdzie podział się ich gniew i jak rozwinęły się talenty? Czy owocuje jeszcze dawna pasja naprawiania świata? W co wreszcie zamieniły się ówczesne mity pokoleniowe, konwencjonalny bunt przeciw „starszej" generacji? Jej modelowym wyobrażeniem była przecież dla Woroszylskiego i Bratnego, dla Borowskiego i Brauna „Kuźnica" — z intelektualizmem poezji Jastruna i parnasizmem Hertza, z „traktatami" Żółkiewskiego, w których odmieniały się przez wszystkie przypadki obce i trudne nazwiska europejskich filozofów.

Pozwólcie przyjrzeć się im po latach okiem „dobrego dzikusa", mieszkańca innej planety — Wenusjanina, który musi zdać się już tylko na dokumenty i cudze informacje, dla którego niemożliwa jest autopsja, który nie rozpala się namiętnościami „za" i „przeciw", studiuje raczej złożone osobowości ludzkie, ciekawą ewolucję pisarską — a przede wszystkim czyta... Czyta i konfrontuje tych, o których mówi legenda —

ludzi z przeszłości — z tymi, których spotyka na co dzień, których widzi, jak czytają gazety w klubach literackich, z którymi rozmawia o sprawach dzisiejszych.

Pomóżmy mu — oto oni: pokolenie młodych gniewnych, pokolenie „pryszczatych" — Borowskiego, Woroszylskiego, Brauna, Gruszczyńskiego, Konwickiego, Ścibora-Rylskiego, Wirpszy, Bratnego, Kubiaka, Mandaliana, również Czeszki, Bocheńskiego i Słuckiego. Kawał historii polskiej literatury i kawał historii dwudziestolecia po wojnie. Kiedyś — wyznawcy i nieomal prawodawcy normatywnej estetyki z lat pięćdziesiątych, dziś — autorzy ciekawych i autentycznych, ambitnych literacko książek (lub filmów), rozczarowani do wszelkich sztywnych prawideł i kanonów.

Kiedyś wielbiciele i naśladowcy Majakowskiego, dziś uporczywie poszukujący własnej drogi artystycznej, nie zawsze jeszcze — jak Mandalian i Gruszczyński — ją znajdujący, ale już niecierpliwi wobec licytacji autorytetów, wobec wszelkich gotowych wzorów i prefabrykatów.

Mitotwórcy z lat 1949—1951 i równie naiwni burzyciele mitów z lat 1956—1958. Fanatyczni w pełnej entuzjazmu akceptacji — i tak samo fanatyczni w bezkompromisowym buncie. Jednym gestem młodocianych demiurgów budujący zamki z piasku — i jednym niecierpliwym „nie" rozczarowanych sceptyków usiłujący obalić stuletnie gmachy.

Do dziś niektórzy z nich pełni są wewnętrznych rys i pęknięć, obrośnięci kompleksami. Do dziś jak zgięte wiatrem łodygi prostują się po trudnych doświadczeniach minionych lat. Do dziś także ich twórczość, postawa, charaktery, ich burzliwe koleje życiowe stanowią wciąż aktualny przedmiot sporu, wywołują oceny zmienne w temperaturze i klimacie.

*

Zaczęło się wszystko w Łodzi. W łódzkiej organizacji AZWM „Życie", w łódzkim klubie „Kuźnicy", na łódzkim uniwersytecie. Jeśli oczywiście przyjmiemy, że istniał w ogóle „ruch pryszczatych", dwudziestoletnich wówczas chłopców w czerwonych krawatach, chłopców uparcie poszukujących światopoglądu, który byłby konsekwentnie antyfaszystowski, ideologii, która byłaby konsekwentnie antywojenna. Chłopców naiwnie, bez hierarchizacji spraw, zbuntowanych przeciw „niesprawiedliwości społecznej" z jednej strony, przeciw sylabotonizmowi w poezji — z drugiej. Powtarzam: jeśli taki „ruch" istniał, jego historycznej genezy, ideologicznych początków szukać należy właśnie tam — w Łodzi roku 1945. W pierwszych latach wolności, kiedy ogłuszeni szokiem wojennym uświadomili sobie wspólną więź pokoleniową, więź

„pokolenia straconego", kiedy odbyli swoje trudne i nieraz długie powroty do normalnego życia, jedni, jak Braun, Czeszko czy Zalewski — prosto z lasu, z „polowania" na Niemców, z AL-owskiej czy AK-owskiej partyzantki, inni — jak Borowski — z obozów koncentracyjnych, z oflagu — jak Wirpsza, z powstania warszawskiego i małego sabotażu — jak Bratny czy Ścibor, z I Armii — jak Słucki czy Gruszczyński, z wileńskiego ruchu oporu wreszcie — jak Konwicki.

Chyba tylko Jacek Bocheński trafił do „grupy" z Lublina, prosto od nauki prawa rzymskiego i łaciny: łacina i prawo rzymskie nauczyły go zresztą nie gorzej od życia walki „*contra tyrannos*". Tylko 17-letni Wiktor Woroszylski ledwie zdołał wygramolić się z repatriacyjnej „tiepłuszki", która przywiozła go tu, do Łodzi, z małego miasteczka nad Niemnem.

Nie spotkali się, oczywiście, wszyscy od razu. W tym czasie, kiedy Woroszylski czy Drewnowski kolportowali bezkrytycznie jeszcze traktowaną „Kuźnicę" i wydawali z Jakubem Litwinem i Leszkiem Kołakowskim własne ubogie pisemko na studenckim powielaczu, Bratny redagował już w Warszawie z Piórkowskim i Zalewskim „dorosłe" „Pokolenie", jeden z pierwszych tygodników społecznych — pismo silnie obciążone kompleksem akowskim. Był to ten sam zapewne „Głos Pokolenia", o którym z niewątpliwym sentymentem napisze po latach autor *Kolumbów* w ostatniej części książki.

Pierwszy numer powielaczowego dwutygodnika AZWM „Życie" zaprezentował program trochę jeszcze żołnierski, solidarystyczny. W artykule wstępnym Wiktor Woroszylski wezwał wszystkich patriotów, w tym również swoich młodych kolegów, aby wspólnie odbudowywali kraj, „dzieląc się chlebem i amunicją" [1]. Obok wydrukowany został pod pseudonimem Krzysztofa Leszczyńskiego okupacyjny wiersz Leszka Kołakowskiego zatytułowany *Jutrznia się rodzi* [2].

Jutrznia się rodzi, jutrznia drga,
znad rozrytego walką gruntu,
czas przyszedł w mrok krzywdy i zła
rzucić płonącą żagiew buntu...

Metafora z młodzieńczego utworu, który powstał w r. 1943, zyskiwała w kontekście poszukiwań pokolenia nową treść. „Bunt" w 1946 r. nie znaczył już walki z okupantem. Płonącą żagiew buntu chcieli ponieść młodzi „Kolumbowie" i młodzi ZWM-owcy — młodzi „pryszczaci" — przeciw krzywdzie społecznej, przeciw temu wszystkiemu, co przeszkadzało władzy ludowej w realizowaniu wielkich reform.

[1] Zob. artykuł wstępny (nie podpisany) pt. *O co właściwie chodzi* („Życie", Dwutygodnik Akademickiego Związku Walki Młodych w Łodzi, nr 1 b. r. wyd.).

[2] *Ibidem.*

Najbardziej konsekwentne w walce ze współczesnymi formami ucisku i krzywdy — wydały się chłopcom w drelichowych koszulach pisma ledwie zakosztowanych wówczas klasyków marksizmu. Poszukując humanistycznej utopii, w gniewnym sprzeciwie wobec wciąż powracających widm niedawnej wojny, sięgnęli po ideologię najbardziej rewolucyjną. Taka była ich droga do komunizmu — droga zresztą nie prosta. Dla dużej grupy spośród nich — dla tych, którzy wyszli z konspiracji akowskiej — przejście na drugą stronę barykady oznaczało potarganie więzów z towarzyszami wczorajszych walk, naruszenie zasad wierności, narażenie się na izolację w swoim środowisku, na oskarżenie o koniunkturalizm. Uznali jednak „zdolność wyboru" za najbardziej ludzką cechę. I próbowali wybierać.

Już wtedy, w r. 1946, łódzkie koło AZWM „Życie", które stało się pierwszą próbą organizacji, pierwszą po wojnie szkołą polityczną „pryszczatych", zdradzało niebezpieczne ciągoty w dwóch jednocześnie — przeciwnych kierunkach. Ulegając wpływom modnego w latach czterdziestych durkheimizmu i różnych (negujących np. zasadę walki klas) teorii socjologicznych, lewaczyło zarazem, żądając — „opozycyjnie" wobec „centrali" Zarządu Głównego — zdecydowanych i ostrych deklaracji politycznych w okresie, kiedy PPR, nie mówiąc jeszcze o socjalizmie, głosiła przede wszystkim ogólnonarodowy program konsekwentnej demokracji ludowej, kiedy hasłem dnia była konsolidacja wszystkich sił całego społeczeństwa wokół zadań odbudowy.

Raz po raz „pryszczatych" ponosił temperament polityczny. Niewiele brakowało, żeby młodzi zapaleńcy rozpętali całą polityczną kampanię na akademii rocznicowej ku czci Komuny Paryskiej.

W tym samym czasie odrobinę lewaczący ortodoks marksistowski, Leszek Kołakowski, kłócił się zajadle z konkurencją ZNMS-u w osobie otoczonego zawsze gromadą adiutantów „wodza" w czarnej rozwianej pelerynie — Jana Strzeleckiego.

W filozofii, jak i w polityce, lewaczenie mieszało się często trochę dziwacznie ze skłonnościami do eklektyzmu. Kolejno na teoretyka stanowiącego zaplecze filozoficzne ruchu awansowali: sprowadzony z zagranicy pod wpływem wykładów Żółkiewskiego Carnap, to znów Chałasiński i jego koncepcje dróg rozwoju inteligencji polskiej, z kolei Kotarbiński ze swym „reizmem", a w miesiąc później — i bez żadnego przejścia — Feliks Dzierżyński (grupa „dzierżyńszczaków").

Stopniowo, jeszcze przed r. 1948, zaczynały się też psuć stosunki „pryszczatej" części środowisk młodych z „Kuźnicą", która świeżo upieczonym marksistom wydawała się zbyt staroświecko-liberalna, „mieszczańsko-oportunistyczna". Łódzcy „pryszczaci" przyjmowali jeszcze Schaffa i Żółkiewskiego, odpychał ich zdecydowanie Jastrun czy Hertz.

Zazdrościli „młodym" drukującym wiersze na łamach pisma, ale robili wszystko, żeby oddalić się jak najbardziej od tych tendencji, którym hołdowali ówcześni „kuźnicowi" pupile: Zygmunt Radek, w pewnym okresie twórczości poetyckiej Andrzej Braun, Maria Castellati, Anna Pogonowska, Mieczysława Buczkówna. Tendencje były spod znaku Jastruna i Ważyka: „Kuźnica" w dziale poezji reprezentowała skłonność do refleksji intelektualnej, preferowała poetykę uklasycznionego surrealizmu czy — jeśli kto woli — synkretyczny styl zrodzony z wymieszanych elementów późnego Eluarda, Jacoba i wczesnego Aragona.

Emocjonalne „buntarstwo" „pryszczatych" nie mieściło się w eleganckich ramach neoklasycystycznego wiersza, a chłopcy w czerwonych krawatach zadebiutowali przede wszystkim jako poeci. Swoje pierwsze, niezbyt wydarzone, liryki i poematy o wojnie drukowali w łódzkich i warszawskich gazetach codziennych: w „Głosie Ludu", nieco później w „Sztandarze Młodych". Przeważał w owych wierszach już wtedy, na samym początku, ekspresjonistyczny krzyk i dość nieudolne naśladownictwo Majakowskiego. Tendencje te nasiliły się po powrocie grupy literatów z wizyty w ZSRR, po debiucie książkowym głównych propagatorów majakowszczyzny (*Śmierci nie ma* Woroszylskiego), po szczecińskim zjeździe literatów w jesieni 1948, po przejęciu redakcji „Kuźnicy" przez Pawła Hoffmana, po odejściu Żółkiewskiego na uniwersytet i do świeżo powstałych pracowni Instytutu Badań Literackich. Ale o tym później.

Zapoznawcze spotkanie „pokolenia", już w osobach konkretnych reprezentantów, odbyło się późną jesienią 1946 w Sejmie, na Zjeździe Młodych Artystów i Naukowców. Był to pierwszy kontakt silnego ośrodka marksistowskiego w Łodzi z literacką Warszawą, która w dużym stopniu stanowiła wówczas „mekkę" akowskiej młodzieży inteligenckiej. Stąd też ów swoisty „przegląd sił", zorganizowany m. in. po to, żeby wprowadzić do „Pokolenia" przedstawicieli ZWM.

Stali wtedy pod ścianami, na galerii, w różnych kątach dużej sali, zgrupowani według odcieni światopoglądowych, młodzi, gniewni, z zaciśniętymi pięściami, gotowi w razie potrzeby wyzwać cały świat albo stworzyć cały świat na nowo.

Ustawili się ilustrując nieświadomie ówczesny układ sił politycznych w środowiskach młodej inteligencji: po lewej stronie łódzcy pretorianie, jak zawsze skupiony i ascetyczny Braun, z twarzą cierpiących za wiarę pierwszych chrześcijan; grzeczny, cichy i pełen jakby wewnętrznej słodyczy blondynek Drewnowski; dziewiętnastoletni ledwie Woroszylski, z trądzikiem młodzieńczym na twarzy i wypychającym kieszeń naganem; nieco dalej aktywny ZWM-owiec, poeta Jerzy Miller. Obok — poetessy i intelektualistki z „Kuźnicy": Pogonowska, Buczków-

na, Kulągowska — cały fraucymer. Na prawo „pokoleniowcy" — grupa akowska: niespokojny, pełen energii organizacyjnej Bratny, popularna wówczas postać „ruchu", autor słynnej rozprawki o dramatyzacji poezji, twórca ekspresjonistycznych wierszy szokujących wytworne, klasycyzujące gusty, męski ideał przystojnych eks-akówek; towarzyszył mu tęgawy już, dobroduszny Piórkowski, „pozytywista" z temperamentu Zalewski — wkrótce autor słynnych produkcyjniaków. Z nimi trzymał się jeszcze wówczas Tadeusz Borowski, pełen wewnętrznego napięcia, szarpiących niepokojów, rozpaczliwych buntów, mieszanina entuzjazmu i fanatyzmu, wspaniała indywidualność, pisarz, który miał za sobą wtedy, w 1946 roku, pierwsze opowiadania *Pożegnania z Marią*, twórca niemal całego kierunku w literaturze dwudziestolecia, tragiczny bohater epoki schematyzmu. To on, wkrótce wódz i założyciel Klubu Młodych Artystów i Naukowców, stanął wówczas w obronie wiersza poległego poety akowskiego. On — autor o parę lat późniejszych kronik z „Nowej Kultury" — w namiętnej polemice z Woroszylskim krzyczał, że „demokracji trzeba patrzeć na palce", on, który stał się legendą, nietykalnym „tabu" trzech pokoleń, szalonym publicystą, bezkompromisowym działaczem, autorem ostrej, dramatycznej literatury z epoki pieców, a potem z epoki urzędowego optymizmu.

Warto wspomnieć też grupę „Inaczej" [3] i obecnych na spotkaniu jej przedstawicieli: Machejka, Szymborską, Włodka, Sokoła oraz patronującego im Adama Polewkę — do dziś najbardziej „umiarkowane" odgałęzienie formacji pokoleniowej, to które wszystkie burze i wichry historii przetrwało w oazie krakowskiego „Życia Literackiego".

Wtedy, w 1946 roku, na zapoznawczym zjeździe „pokolenia" istniały jeszcze ostre przedziały polityczne, ścierały się charaktery i poglądy. Istnieli już (nieobecni zresztą na sali) nieufnie traktowani „starzy" w osobach Jastruna, Żółkiewskiego i Hertza.

Wstępującym w życie i twórczość dwudziestolatkom bliższy wydawał się pracujący w KG Milicji Grzegorz Lasota, szesnastoletni chłopczyk z ładną czarną czupryną, który cytował z pamięci Żdanowa i który potem wsławił się jako autor zbioru artykułów publicystycznych pt. *Kierunek natarcia*. Chętniej także niż starszym kolegom po piórze ściskali dłoń obecnemu na zjeździe przedstawicielowi Związków Zawodowych, Włodzimierzowi Sokorskiemu, czy noszącemu dystynkcje kapitana Witoldowi Wirpszy. Imponował im nieco rówieśnik Gruszczyński sprawujący „władzę" w ZG AZWM, z odrobiną ironii i nieufności natomiast, znacznie mniej serio, zwłaszcza w latach późniejszych, odnosili się do marksistowskich inteligentów z „Kuźnicy", których nawet

---

[3] „Inaczej", Jednodniówka literacko-społeczna, Kraków, 1 IX 1945. Wydana przez „zespół młodych" z A. Włodkiem na czele.

potem, w okresie natrętnego socjologizowania w studiach Kotta *O „Lalce" Bolesława Prusa* woleli uważać za produkt inteligenckiego liberalizmu.

Komunizm był dla dwudziestolatków w czerwonych krawatach nie tylko przygodą intelektualną. Traktowali go jak nową objawioną religię; podobnie teoria marksizmu wydawała się „pryszczatym" jednocześnie dekalogiem i współczesną powieścią.

> To chyba oczywiste, że nasze zaangażowanie nosiło charakter emocjonalny. Ale towarzyszył mu, był jego nieodłączną częścią ruch umysłowy — radosny i wytężony — pełen odkryć i niespodzianek — wspaniała przygoda intelektualna imieniem marksizm [...]. Zaczynało się od lektur elementarnych — szlak ich wyznaczały kolejne publikacje partyjnego wydawnictwa „Książka" — te skromne broszurki na złym papierze i w nietrwałych okładkach — *Manifest komunistyczny, Rozwój socjalizmu od utopii do nauki, Dziecięca choroba lewicowości* — ale jak się je czytało! — z wypiekami, z zapartym tchem — nawet do poduszki wzgardziłbym wtedy sensacyjną powieścią, mając zamiast niej do wyboru, powiedzmy: *Osiemnasty Brumaire'a Ludwika Bonaparte* (tej genialnej rozprawie Marksa pozostałem zresztą wierny do dzisiaj). Później był *Ludwik Feuerbach*, książki Plechanowa, *Tomasz Moore* Kautsky'ego — z biblioteki wypożyczyłem na wieczne nieoddanie gruby tom Lenina, ogłoszony po polsku w Moskwie — tam znalazłem między innymi *Imperializm jako najwyższe stadium kapitalizmu* — ktoś dał mi wreszcie *Zagadnienia leninizmu* Stalina — ta książka, prymitywniejsza od innych, imponowała dosadnością sformułowań i tchnieniem bliskiej praktyki rewolucyjnej.

— pisze o tym okresie Woroszylski [4].

To już, trochę dorobiona *ex post*, legenda grupy „pryszczatych".

Przygoda — ale przede wszystkim konkretna praktyka walki politycznej kształtowała ich postawę w okresie wyjątkowo trudnym, okresie wstępnych akcji związanych z reformą rolną, wyborami, agitacją na wsi i w mieście. Na temat tych pierwszych bojów pokolenia mamy dziś mało dostępnych materiałów. Należeć będzie do nich na pewno *Tranzytem przez Łódź* [5], mówi o tych sprawach, na marginesie uwag dotyczących polityki kulturalnej PPR w latach 1945—1948, książka Żółkiewskiego *Przepowiednie i wspomnienia* [6]. Całość rekonstruować jednak trzeba z ulotnych tekstów, zasłyszanych opowieści, legendy i hagiografii, gazet, wspomnień i autopsji, dla autorki niniejszych szkiców niestety niemożliwej. Wiadomo więc, że „pryszczaci" czytali nie tylko *18 Brumaire'a, Kapitał* i *Manifest komunistyczny.* Już w pierwszych latach powojennych odkryli, poza Marksem, Engelsem, Leninem i Stalinem, poza Plechanowem i Kautsky'm także Majakowskiego i Błoka,

---

[4] W. Woroszylski, *Moja łódzka młodość.* W publikacji zbiorowej: *Tranzytem przez Łódź* (w druku).

[5] *Ibidem.*

[6] S. Żółkiewski, *Przepowiednie i wspomnienia.* Warszawa 1963, s. 231—258.

radziecką prozę lat dwudziestych, powieść „budownictwa socjalistycznego" Gładkowa, prozę Szołochowa i Erenburga. Dopiero za parę lat przyszli Ażajew i Babajewski. Literatura radziecka wydała się czołówce pokoleniowej odtrutką na rodzimy „dekadentyzm" i „formalizm", miała stanowić *antidotum* na smaczki w twórczości starszych kolegów, zwłaszcza na francuski parnasizm Hertza, negującego liryczną funkcję słów „pepesza" czy „Pstrowski". Bunt literacki startujących grup pokoleniowych, które szukały energicznie miejsca na Parnasie, skojarzył się niebezpiecznie z antymieszczańskim protestem politycznym i hurrarewolucyjnym zapałem dwudziestolatków. Potrzeba emocjonalnej negacji szła w parze z potrzebą nowych autorytetów. Pokolenie, w 1945 r. rozbite jeszcze i zdezintegrowane, łączyło się stopniowo i integrowało na gruncie wyraźnie „młodzieżowej" interpretacji marksizmu; łączyło się we wspólnej walce, ale i we wspólnej drodze do życiowego awansu, we wspólnym buncie krzyżującym się, już w 1949 roku, ze świadomym, ale niestety sekciarskim, programem estetycznym.

Droga do awansu nie była zresztą, wbrew pozorom, ani łatwa, ani prosta. Świadczą o tym burzliwe losy pisma „Pokolenie", szybko zreorganizowanego uchwałą ZG AZWM w r. 1947, pełnego wewnętrznych tarć i konfliktów, rozpadającego się już po pierwszych numerach i wreszcie zlikwidowanego ostatecznie. Świadczy też o tym historia pierwszego zespołu „Poprostu", miesięcznika „Nurt", z Borowskim jako redaktorem naczelnym, dzieje aktywnej w 1947 r. warszawskiej „grupy poetyckiej" (Bratny, Gruszczyński, Bocheński, Kubiak), która podjęła otwartą polemikę estetyczną z „Kuźnicą". Pouczająca jest tu wreszcie próba stworzenia własnego pisma (zapowiedzianego pod energicznym tytułem „Do rzeczy"), które miało skupiać młodych zwolenników literatury zaangażowanej. Pierwsze, przygotowane w mieszkaniu Heleny Jaworskiej, numery zawierały: opowiadania Borowskiego, przekłady poematów Majakowskiego, wiersze Broniewskiego, Kubiaka, artykuły Woroszylskiego i Bocheńskiego, przekłady Ewy Fiszer. Współpracownikami pisma, projektowanego jako dodatek literacki do „Głosu Ludu", mieli być poza tym: Gruszczyński, Bratny, Braun i Piórkowski. W ostatniej chwili pozwolenie na pismo zostało jednak cofnięte i niedoszli lub byli redaktorzy poświęcili się działalności na innych polach.

Tradycja była już niezła. Niebawem, w roku 1948, na zorganizowanym w Nieborowie seminarium młodych pisarzy, czcigodni mentorzy w osobach Jastruna, Żółkiewskiego i innych literackich wykładowców spotkali się po raz pierwszy z otwartą manifestacją buntu „pokoleniowego" młodych „barbarzyńców". To na tym seminarium trzymający się zawsze na uboczu i milczący Tadeusz Różewicz indagował zaocznie wytwornego, nieskazitelnie uprzejmego autora *Małych ód i trenów,* dlaczego

w jego wierszach powtarzają się wciąż okna historii i balkony epok. „Dajcie nam spokój" — powiedział na zakończenie poeta. — „W Polsce Ludowej nigdy nie będzie spokoju" — zareplikował mu dowcipnie i proroczo Żółkiewski.

Spór „młodych" ze „starymi" aspirował do rangi sporu między romantykami i klasykami, w której to kłótni Żółkiewski miał być Koźmianem, a Bratny z Woroszylskim reprezentowali Mickiewicza i Słowackiego. W interesującym sprawozdaniu z nieborowskiego seminarium tak scharakteryzowała sytuację poetycką tych lat Anna Kamieńska:

> Przyboś zaczął bez powodzenia powtarzać formuły swych wierszy. Miłosz pisze wiersze coraz piękniejsze, coraz bardziej stylizowane i spiętrzone malowniczo, poetyka redaktorów „Kuźnicy" stała się nieomal oficjalna. Przeciwko niej to wystąpili młodzi pisarze w Nieborowie [7].

W tym samym artykule autorka sformułowała uproszczoną, to prawda, ale jednak definicję „trzeciego pokolenia" pisarzy:

> Kategoria pokolenia jest w tym wypadku jasno ograniczona. Określa ją nowy etap gospodarki i odbudowy państwa socjalistycznego oraz własna typowa biografia młodzieży, która przeszła przez front II wojny światowej i która, jak mówi nasz kolega-poeta, zdobywała magisterium karabinem żołnierza czy partyzanta. Taka jest legitymacja trzeciego pokolenia do twórczości: wojna i zgłoszenie udziału w odbudowie.

Nadszedł okres największej stosunkowo „konsolidacji" pokolenia: lata 1949—1951, krótkie lata, w których stali się jednocześnie „grupą artystyczną", orientacją polityki kulturalnej i — mimo indywidualnych różnic w poetyce — reprezentantami polskiej odmiany realizmu socjalistycznego. Czy jedynymi? Oczywiście nie, i nie ma tu powodu demonizować roli „pryszczatych" w procesie „usztywniania" literatury polskiej w latach 1948—1953; muszą podzielić się laurem zasługi ze starszymi kolegami po piórze, także z tymi, których pomawiali o kunktatorstwo i wszystkie grzechy główne mieszczaństwa. Apetytów młodych nie zaspokoiły ani pretensje Kotta zgłaszane pod adresem *Popiołu i diamentu* czy *Rzeczywistości*, ani recenzja Żółkiewskiego z *Matki* Gorkiego pod znamiennym tytułem *Arcydzieło realizmu socjalistycznego*. Zapewne, u starszych pisarzy „pryszczaci" doszukiwali się jakiegoś wewnętrznego przymusu, który, jeżeli był, polegać mógł na tym, że na gruncie szczerego zaangażowania politycznego starsi twórcy próbowali niefortunnie narzucić sobie po 1948 r. fałszywe rygory estetyczne. Łatwiej, rzecz jasna, przychodziło to działaczom-publicystom, którzy nie składali na ołtarzu uproszczonej estetyki własnej twórczości, aczkol-

---

[7] A. Kamieńska, *Czterdziestu najmłodszych pisarzy*. „Wieś", 1948, nr 5, z 1 II.

wiek o kruchości budowanego przez nich gmachu świadczyłby nie tylko późniejszy przebieg naszej odwilży, ale już i oblicze słynnej narady w Radzie Państwa z października 1951.

Spontaniczne sekciarstwo „młodych" zmierzało w tym samym kierunku, który od czasu rozgromienia „odchylenia prawicowego" stał się oficjalnym drogowskazem w polityce kulturalnej. Nieprzypadkowo też oni właśnie (Bratny, Woroszylski, Konwicki) włączyli się w ogólny nurt krytyki rzekomego „oportunizmu" w polityce naszej partii przed rokiem 1948. Nieprzypadkowo właśnie za oportunizm i prawicowe odchylenie została w tym samym czasie potępiona „Kuźnica".

Jeszcze w 1950 r. z nadgorliwością „młodych" polemizował Ważyk, wkrótce potem sztandarowy rzecznik nowego kursu. Nowy kurs szedł jednak z góry. Zarówno „pryszczaci", jak i późniejsi teoretycy uproszczonego socrealizmu — Kierczyńska, Hoffman, Siekierska, Ważyk i inni — występowali bardziej w funkcji wygodnych sojuszników niż samodzielnych inspiratorów. Także główny referent Zjazdu Szczecińskiego, Stefan Żółkiewski, który jako niedawny reprezentant krytykowanego „liberalizmu marksistowskiego" spełniał jedynie ostatnią posługę wobec własnych koncepcji. Oficjalnym wyrazem polityki kulturalnej było wówczas przemówienie Jakuba Bermana wygłoszone 27 października 1951 w Radzie Państwa:

> Najważniejszym obowiązkiem każdego artysty jest wzbogacać własną twórczość, czyniąc ją bardziej odkrywczą i walczącą. Dosięgnijcie waszą ostrą bronią kułaka i spekulanta, szpiega i dywersanta, amerykańskiego podżegacza i neohitlerowca. Odsłońcie zawiły mechanizm kułackiej postawy, kułackiego wyzysku, jego perfidne zasłanianie się chłopem mało- i średniorolnym. Ukażcie całą ostrość przeciwieństw i pokażcie wielkość naszych czasów [8].

Ale wróćmy do „młodych gniewnych".

Na początku był manifest. Ukazał się w r. 1950 pt. *Batalia o Majakowskiego* [9]. Nosił piętno lektur twórczości autora *Obłoku w spodniach* i sporów wokół jego twórczości. Autor tego najbardziej charakterystycznego w dziejach polskiej literatury powojennej pamfletu, Wiktor Woroszylski, zmieścił w nim wszystko: fanatyzm polityczny, gorycz i „nieprzystosowanie" wschodzących gwiazdek w konstelacji ciał niebieskich o dawno uznanych nazwach, nie przebierające w środkach ataki personalne, zafascynowanie publicystyką i pisarstwem radzieckich kolegów, bunt „romantyka" przeciw „klasykom", „nowoczesnych" przeciw „konserwatystom", „młodych" przeciwko „starym". W tym samym tyglu ugotował Woroszylski żywcem Jastruna i Wygodzkiego, Hertza

---

[8] J. Berman, *Pokażcie wielkość naszych czasów*. „Nowa Kultura", 1951, nr 45, z 27 X.

[9] W. Woroszylski, *Batalia o Majakowskiego*. „Odrodzenie", 1950, nr 5, z 29 I.

i Sandauera, Gribaczowa i Isakowskiego. O sobie, manierą „pryszczatej" publicystyki, pisał wyłącznie w trzeciej osobie. Analizował pochwalnie twórczość Romana Bratnego, epatującego wówczas na przemian ekspresjonistyczną metaforyką i wierszowanymi pretensjami do krytyków:

Ty chciałeś dawniej
każdą kropkę przemienić w obręcz do zabawy,
wiedziałeś, że dziś kijem dalej zapędzi ją dziecko
niż wtedy Ty najdoskonalszym poematem.
I bawią się dziś Twoimi wierszami:
czytają z cokołu ośmioletnie,
to, co stary redaktor Żółkiewski
określał jako „nierealne" [...] [10].

„Stary redaktor Żółkiewski" był wówczas w wieku dzisiejszych „młodych" ze „Współczesności". Podobnie „stary" Hertz miał nieco powyżej trzydziestki. Nie tylko oni jednak nie mogli zgodzić się na „szczotkę do zębów wyszczerzonych na polu chwały" czy — może już mniej słusznie — na „dramat w końskiej źrenicy". Od tych wierszy otwierała się jeszcze do czegoś furtka, dopiero późniejsza poezja „pryszczatych" stała się ślepym zaułkiem, ulicą bez wyjścia. Jako pierwszy, najwcześniejszy chronologicznie krok w tę ulicę upamiętniła się deklaracja Gruszczyńskiego z *Płomienia czerwonych krawatów,* jeszcze w roku 1948.

Oto przyrzekam towarzysze:

o ptaszku,
gałązce,
gwieździe
dopóty nie napiszę,
dopóki wiersz mój z wami nie wstąpi
na socjalizmu choćby przedmieście [11].

Dopiero w parę lat później przyszła *Wiosna sześciolatki,* przyszły poematy Brauna, Woroszylskiego i Mandaliana.

Jeśli traktor nie może orać,
Jeśli siew nie osiągnie skutku,
Jeśli łamie się w ręku norma,
a od majstra zalatuje wódką,

jeśli zamarł warsztatu ruch,
spalił serce motor —
to fakt,
że działa klasowy wróg.

---

[10] R. Bratny, *List zza dwustu lat.* W: *15 batalionów.* Warszawa 1948, s. 50—51.
[11] S. Gruszczyński, *Płomień czerwonych krawatów.* Warszawa 1948, s. 9.

Walka trwa.
Czujniej, towarzysze,
czujniej,
dotrzymamy epoce kroku,
i pod skórą legitymacji
trzeba umieć wymacać wrogów [12].

Artykuł Woroszylskiego, który stał się przyczyną skandalu oraz pretekstem do „*va banque*" naszej polityki kulturalnej lat schematyzmu, został w pierwszym „odruchu" skrytykowany przez zdrową jeszcze partyjną opinię literacką. Był zresztą trochę śmieszną, choć i groźną, mieszaniną sądów politycznych i estetycznych, często z różnych parafii.

Dyskusja radziecka udowodniła, że robienie dobrej współczesnej poezji partyjnej jest równoznaczne z nawiązaniem do Majakowskiego, i odwrotnie, odejście od Majakowskiego znaczy obecnie tyle, co pisanie wierszy obcych klasie robotniczej, nieświeżych, niekomunistycznych.

— pisał autor [13]. I za chwilę, w instynktownym geście niechęci pod adresem „klasyków", zastrzegał się:

Poezja Majakowskiego zapładnia poezję współczesną. Uczestniczy ona nie tylko w naszej walce przeciwko załamaniom ideowym, lecz i przeciw poetom lekceważącym formę, korzystającym ze starych, oklepanych, pozbawionych siły wyrazu rytmów i rymów, przeciwko poetom, którzy starają się przyoblec nowe tematy w stare formy, przeciw estetycznej zgnuśniałości i rutynie.

„Pokolenie" jednym niecierpliwym gestem wyrzuciło za burtę cały bagaż literatury do roku 1949: lansowaną przez „Kuźnicę" tradycję oświeceniowego racjonalizmu (szkice Kotta o Wolterze), postulującą sylabizm normatywną poetykę Ważyka, sformułowaną później, w 1951 roku, w książce *Mickiewicz i wersyfikacja narodowa,* utwory Skamandra oraz inne uznane nazwiska i tytuły poezji dwudziestolecia międzywojennego. Borowski atakował nawet poetykę autora *No pasarán*, najbardziej „niezależny" Różewicz zwracał — wcześniej zresztą, jeszcze w latach 1946—1947, pod adresem Broniewskiego, Tuwima i Słonimskiego prowokacyjne zapytanie: „czemu wracacie, umarli poeci?" W coraz głośniejszych fanfarach kampanii publicystycznej nadchodziła era „majakowszczyzny", era „produkcyjniaków".

*

Po proteście „Trybuny Ludu", której krytyk z pryncypialnych pozycji zaatakował „formalizm" manifestu Woroszylskiego, półgębkiem tylko wspominając o jego „sekciarskich przegięciach" — po nadzwyczajnym zebraniu organizacji partyjnej w ZLP, po kilku konwentyklach ministerialnych mecenasów i tuzinie polemik w „Kuźnicy", „Od-

[12] A. Mandalian, *Dzisiaj.* Warszawa 1951. s. 34.
[13] Woroszylski, *Batalia o Majakowskiego.*

rodzeniu", „Poprostu" — klamka zapadła, drzwi zostały zatrzaśnięte. Artykuły Śpiewaka, Matuszewskiego, Pregerówny, Słuckiego, Ważyka i Gruszczyńskiego *nolens volens* przyjmowały płaszczyznę dyskusji zaproponowaną przez inicjatorów. Polemika mieszała się z samokrytyką, lewactwo i fanatyzm z autentycznym rewolucjonizmem. „Manifest" rozpętał spór niebezpieczny w skutkach, ale częściowo jeszcze kontrolowany przez istniejące zespoły redakcyjne. Tak czy inaczej, ściągnął on gromy nie tylko na głowę Woroszylskiego i stał się zamachem nie tylko na etaty redaktorów „Kuźnicy".

> To, co mogłoby ujść za walkę ideologiczną, to, co wyglądało na bitwę pokoleń, było niejednokrotnie tylko starciem dwóch odmian artystycznych tej samej burżuazyjnej ideologii. Estetyzm Jastruna i antyestetyzm Bratnego — to dwa bieguny jednej i tej samej niedojrzałości ideologicznej. Powinniśmy sobie zdawać sprawę, że nasza młoda kadra poetycka, przeważnie pochodzenia mieszczańskiego, weszła do literatury — w większości wypadków — ideologicznie obciążona, i że z młodego wieku nie wolno robić kanonu rewolucyjności.

— pisał Gruszczyński [14]. Posłuchajmy Ważyka:

> Co jest groźniejsze od rozwoju naszej poezji: estetyzm odgradzający się od życia czy antyestetyzm folgujący anarchistycznym popędom? Rzecz oczywista, że groźne są oba. Są to dwa ramiona, którymi ideologia burżuazyjna chciałaby opasać i zdusić rodzącą się kulturę socjalistyczną, a jeżeli nie potrafi jej zdusić, to przynajmniej — skrępować. Dlatego, zwalczając objawy estetyzmu w poezji i myśli literackiej, trzeba równocześnie zwalczać objawy antyestetycznego warcholstwa tłamszące rozwój poszczególnych poetów [...]. W trakcie dyskusji Jan Śpiewak i inni wykazali błędy popełnione przez Woroszylskiego. Wszystko przemawia za tym, że po przemyśleniu sam Woroszylski je zrozumie. Ale artykuł jego ujawnił niebezpieczeństwo grupowości wśród niektórych poetów, wywołane nieufnością do nich ze strony poetów i krytyków starszych. Pycha jednych zrodziła samochwalstwo drugich. Wyniosłe mentorstwo, które dochodziło do głosu w „Kuźnicy", podsycało zarozumiałość literatów pozostawionych bez opieki [...]. Niebezpieczeństwo jest tym poważniejsze, że linia podziału zarysowuje się między generacjami. Nie wystarczą puste deklaracje, że nie uwzględnia się tej linii podziału. Jedni literaci zaczęli pisać przed wojną, inni podrośli do pióra po wojnie. To są fakty. Fakty te sprzyjają cichym koncepcjom walki pokoleń, tłamszącym życie literackie i przynoszącym szkodę polityczną [...]. Skruszyć przegrody można tylko w codziennej pracy Związku Literatów, w trybie reorganizacji czasopiśmiennictwa i zespolenia kadr, w indywidualnym traktowaniu poszczególnych literatów [...]. Pilne się staje zadanie skupienia aktywnych kadr, rozbudowania krytyki, zdobycia należytej pozycji dla czołowego pisma kształtującego życie literackie w Polsce. Nowa sytuacja wymaga zmiany przestarzałego układu czasopism literackich i artystycznych. Wreszcie — konieczna jest reorganizacja życia związkowego, pogłębienie pracy ideowej na tym terenie, podniesienie powagi Związku Literatów [15].

[14] K. Gruszczyński, *Patos nauki*. „Poprostu", 1950, nr 11, z 24 III.
[15] A. Ważyk, *O właściwe stanowisko*. „Kuźnica", 1950, nr 10, z 12 III.

Roma locuta. Skrytykowana za prawicowe odchylenie ,,Kuźnica", od 1949 r. redagowana już zresztą przez Hoffmana, została w 1950 r. połączona z „Odrodzeniem" (akt ten stał się faktyczną likwidacją tego drugiego pisma). Nowy kierunek polityki kulturalnej uświęcony przez Zjazd Literatów w Szczecinie uzyskał transmisję w powołanym do życia pod hasłem realizmu socjalistycznego i zaostrzenia walki ideowej tygodniku „Nowa Kultura". Skład redakcji reprezentować miał ,,zgodę pokoleń". Redaktorem naczelnym pozostał Paweł Hoffman. Z dawnej ,,Kuźnicy" weszli do nowego tygodnika Brandys, Matuszewski, Jastrun, na krótko Hertz, Pollak, Żuławski. Interesów „pryszczatych" mieli bronić Borowski, Braun i Konwicki. Wkrótce potem „doszlusowali" do zespołu Drewnowski, Mandalian i Andrzej Wasilewski. Odeszli Jastrun, Żuławski i Pollak. Awansował na redaktora „Twórczości" Ważyk. Doszedł w rok po przyjeździe ze Szczecina, w którym Wirpsza zorganizował małą filię ZLP, Woroszylski — w 1950 r. wraz z Borowskim i Zalewskim jeden z laureatów nagrody państwowej. Sytuacja stała się dla „pryszczatych" pozornie jeszcze jaśniejsza, kiedy z Paryża przyjechał Putrament, na krótko główny protektor i mecenas „pokolenia", już triumfującego na gruzach literackiej Kartaginy — „Kuźnicy". Przed triumfem ostatecznym przyszło jednak zaskoczenie: śmierć Borowskiego.

Pisano o niej wiele jako o dramatycznym fakcie naszej historii literackiej, jako o indywidualnej ludzkiej tragedii, jako o niepokojącej poincie żdanowowskiego etapu polityki kulturalnej, epizodu z wulgarnie pojętym socrealizmem.

> Ale jeszcze bardziej wstrząsająca była walka, jaką Borowski przeprowadził z demonem literatury, kiedy uwierzył, że ważniejszą w tej chwili sprawą jest sprawa publicystyki. Z zaciekawieniem, powiem nawet więcej, z bijącym sercem niektórzy śledzili kroniki tygodniowe Borowskiego drukowane w „Nowej Kulturze". Przyznam się, że należałem do nich i w każdej z nich starałem się odnaleźć ślady powrotu Borowskiego do literatury. Tadeusz zżymał się w nich i bił pięścią w stół, a jeśli czasami zbyt głośno krzyczał — to chyba, aby zagłuszyć głos tęsknoty do dawnego warsztatu. W tej jego rezygnacji — o której niewiele mówił — w jego pełnej pasji i nie liczącej się z autorytetami działalności, w słowie jego tak trafnym, dosadnym i czasem boleśnie wnikliwym brzmiał głos ludzki, „*vox humana*" całego wstępującego tuż po wojnie do pisania i walki pokolenia.

— pisał Jarosław Iwaszkiewicz [16].

Walka z demonem literatury, miłość, rozczarowanie polityczne, jakaś nie znana nikomu tragiczna pobudka — różnie tłumaczono rozpaczliwy gest jednego z najświetniejszych twórców powojennej prozy. Poświęcono mu niemal cały numer pisma, „Nowej Kultury", z którą czuł się związany mimo wszystkich tarć, która była „jego pismem",

[16] J. Iwaszkiewicz w: „Nowa Kultura", 1951, nr 28.

cząstką jego osoby, warsztatem pracy, terenem działalności. Dla niej, dla redakcji, dla publicystyki, zrezygnował niemal w ostatnim okresie życia z literatury. Może istotnie zbyt łatwo zastąpiła mu ją felietonistyka i redagowanie działu. Nie są to sprawy, o których moglibyśmy wypowiadać się dziś, po latach. My — ludzie młodszej generacji, dla której autor *Pożegnania z Marią* jest tylko literaturą i legendą.

Samobójstwo Borowskiego stało się pierwszą, psychologiczną na razie, klęską tej literackiej formacji. Zasiało w niej pierwszy niepokój. Dopiero jednak w 1952 r. „grupa artystyczna" rozpełzła się z przyczyn najzupełniej obiektywnych. Borowski nie żył, Woroszylskiego, po długich staraniach z jego strony, wysłano na studia do ZSRR, Braun został korespondentem w Chinach i Korei, „Nową Kulturę" objął po Hoffmanie Putrament. Jego stosunki z „pryszczatymi" uległy w tym czasie szybkiemu ochłodzeniu. Na miejsce Pomianowskiego i Woroszylskiego wszedł do redakcji Zygmunt Kałużyński.

Tempo walki gustów traktowanej jako synonim walki klas stawało się coraz bardziej przyspieszone. Bój toczył się jednak bez „pryszczatych" albo z ich zmniejszonym udziałem. Przez dźwięk oficjalnych trąb przedzierał się od czasu do czasu głos instrumentów nastrojonych na inną, własną nutę. Już rok 1952 minął pod znakiem Flaszenowskiej filipiki przeciw schematyzmowi. Referat Flaszena pt. *Nowy Zoil czyli o schematyzmie*, odczytany na zebraniu warszawskiej sekcji prozy ZLP, ukazał się następnie, nieco okrojony, w „Życiu Literackim" [17]. Ale na fali potępienia „imieninowej liryki" oraz landrynkowych poematów prozą poszukiwano gorliwie realizacji stalinowskiej tezy o zaostrzeniu się walki klas w socjalizmie. Krakowscy krytycy — Kijowski, Błoński i Flaszen — rychło oskarżeni zostali przez Putramenta o „przemytnictwo ideologiczne", a teoretycznie rozgromione przez Flaszena „produkcyjniaki" uzyskiwały kolejne nowe wydania.

Przełom zbliżał się nie tyle wielkimi skokami, w stumilowych butach, ile wolno i ostrożnie człapiąc — krok za krokiem. Narastał początkowo niezauważalnie w dyskusjach literackich, jeszcze przed śmiercią Stalina, w wahaniach redakcyjnych koniunktur „Nowej Kultury", której stolec redaktorski zwany był żartobliwie „stolcem nagłego spadnięcia" — z powodu częstych i raptownych zmian personalnych.

Podczas wielomiesięcznych sporów o pryncypia trzeszczały szwy w zbyt sztywnym gorsecie żdanowowskiego kodeksu sztuki. W dyskusji po raz pierwszy od lat padały sensowne odpowiedzi na pozornie tylko absurdalne pytania-zmory, nękające naszą sztukę i politykę kul-

---

[17] L. Flaszen w: „Życie Literackie", 1952, nr 25, z 6 I.

turalną: „Czy dopuszczalna jest Wenus z Milo w socjalizmie? Czy twórca zaangażowany może opiewać po prostu urodę ciała ludzkiego? Czy piękno niepolityczne służy budownictwu socjalistycznemu?"

Tak więc w malarstwie ogłoszono rehabilitację aktu, krytykowanego dotychczas za „arealizm", „ponieważ w tym klimacie i warunkach społecznych nikt nie chodzi nago". Skutki praktyczne postulatów dyskusyjnych nie dały na siebie czekać. Lata 1953—4—5—6 przyniosły na przemian: Andrzejewskiego *Lament papierowej głowy* (jesień 1953), który jednak w druku się nie ukazał, *List o sumieniu* Wirpszy, drukowany w „Nowej Kulturze", *Pamiętnik uczennicy*, pokazujący od wewnątrz, nieschematycznie, problemy najmłodszych, przyjazd na wakacje do kraju „przemienionego" Woroszylskiego (1953), rosyjskie wydanie *Odwilży* Erenburga i analogiczną do polskiej, żywo u nas odbieraną dyskusję o sztuce na Węgrzech, XI Radę Kultury i Sztuki (wiosna 1954), zmiany w redakcji „Poprostu" (od połowy r. 1955), pierwsze od lat przedstawienie *Dziadów*, ukazanie się *Złotego lisa* i wydobycie z szuflady *Lamentu* Andrzejewskiego, wreszcie *Poemat dla dorosłych* Ważyka, który stał się przedmiotem dramatycznego spotkania pisarzy partyjnych z przedstawicielami kierownictwa partii w sali okrągłego stołu w Pałacu Staszica (wrzesień 1955).

I już jesteśmy w samym środku przedpaździernikowych dyskusji, w centrum spięć i konfliktów, w atmosferze niepokojów, rozdzierania szat, dramatycznych przewartościowań, raptownych skoków i przegięć, narad aktywu partyjnego, upadków i zmartwychwstań. Rozpoczęło się wielkie ogólnonarodowe misterium, odtajały lody i jak w *Czystym niebie* Czuchraja ruszyła kra.

Pierwszą oficjalną sankcją nowej polityki, wolnej od błędów przeszłości, początkiem autentycznego przełomu było VIII Plenum KC PZPR w Polsce. Początkiem odnowy i zasadniczym zwrotem w światowym ruchu robotniczym był 25 luty 1956 — referat Nikity Chruszczowa na XX Zjeździe KPZR.

Niewątpliwa zasługa w przyśpieszaniu tym razem demokratycznych procesów naszego życia, przypadła polskim środowiskom twórczym i polskiej prasie (od 1955 r.: „Poprostu", „Nowa Kultura" i inne). Literatura włączyła się tu czynnie i namiętnie jak nigdy dotychczas. Polityka stała się bezpośrednio i bez administracyjnych nakazów domeną sztuki. Sztuka stała się polityką. Ten żarliwy sojusz obfitował w trudne chwile, bowiem Wielki Przełom był jednocześnie dramatem rozbitych mitów. XX Zjazd KPZR i jego dokumenty, VIII Plenum KC PZPR, Wielkie Odrodzenie, Wielka Katharsis socjalizmu, obfitowały w indywidualne ludzkie rozczarowania i dramaty, dramaty tych, którzy byli ślepi, ale także tych, którzy mieli oczy otwarte. Dramaty pustych szuflad u jednych pisarzy, wypełnionych nie wydanymi maszynopisami —

u innych (*Rojsty* Konwickiego, *Głosy w ciemnościach* Stryjkowskiego). Rozpęd kulturalny utwierdzony został przez jeszcze jedną zmianę gabinetu w „Nowej Kulturze” (1956), która stała się po raz pierwszy trybuną nowego pokolenia. Weszli do niej poza Woroszylskim także Konwicki, Braun, Mandalian, Wirpsza, Kołakowski, Ścibor, Piórkowski i inni. Gdyby żył, byłby z nimi, być może, i Borowski.

W 1956 r. „pokolenie” nie grzeszyło jednak dojrzałością i rozumem politycznym. Znajdowało się przy tym w stadium zasadniczego zwrotu ideowego i moralnego. W atmosferze chaosu, spięć i przewartościowań, które rodziły twórczy ferment, ale i zamęt kryteriów, „pryszczaci”, jak zawsze roznamiętnieni polityką, jak zawsze młodzi i gniewni, przeżywali nadal ostro i bardzo emocjonalnie swoją pierwszą przygodę ideową: komunizm. Im głębiej brnęli niegdyś w mity i fanatyczne uproszczenia, im bardziej przymykali oczy na wszystkie niepokoje i komplikacje, im mniej uznawali kompromisów ze sobą i otoczeniem, tym zacieklej dążyli teraz do demitologizacji absolutnej, tym boleśniej odczuwali własną klęskę moralną, tym generalniej negowali „minione”. Politycy, którzy zdradzili literaturę dla działania, poczuli się sami zdradzonymi kochankami. Dali upust publicystyczny i literacki, wielu nagromadzonym obsesjom i bólom. Bratny opublikował dzieło życia: wielką „obrachunkową” epopeję młodzieży akowskiej, *Kolumbów* — książkę nawiązującą do działalności „Pokolenia” w latach 1946—1947. Różewicz wydrukował spowiedź „człowieka o czystych rękach”, poetycką replikę na *Poemat dla dorosłych* Ważyka, uzasadniając swoją dawną pozycję izolacji i rzekomego niezaangażowania w latach pięćdziesiątych. Czeszko zaczyna *Przygodę w kolorach* — powieść o środowisku plastyków w epoce schematyzmu, Braun ogłosił *Piekło wybrukowane*, Woroszylski — *Okrutną gwiazdę*, Ścibor — *Czarne ściany*, Zalewski przerywa dawniej zaczętą książkę o wsi. Mandalian po paru cienkich tomikach wierszy przerzucił się na dramat, podobnie jak wcześniej już Gruszczyński. Bocheński i Konwicki zabierają głos głównie w artykułach i felietonach. Piszą dalej, z trudem, ale i powodzeniem odrzucając sztywną skórę dawnej poetyki — Wirpsza, Szymborska i Słucki. Leszek Kołakowski tworzy nowy gatunek felietonu filozoficznego, traktatu z zakresu moralistyki politycznej, esesju — alegorii.

Młodym angrymenom czy „wściekłym”, jak nazwano ich w tym okresie, zabrakło jednak poczucia realizmu. Pasowanie się ze światem, sobą i demonami literatury prowadziło ich często na manowce fałszywych poglądów. Jedni odgrzebywali sformułowaną w felietonach z 1954 r. koncepcję „immanentnego zła”, rodzącego się rzekomo nieuchronnie w socjalizmie, drudzy ulegali urokom egzystencjalistycznej historiozofii i teorii alienacji władzy. W zapale burzenia negowali totalnie — nic dziwnego, byli młodzi, przejęci i zranieni w dawnych, zbyt

utopijnych wyobrażeniach, autentyczni w chęci naprawienia jeszcze raz świata.

Literatura obrachunków zaczęła się jednak od próby sformułowania programu politycznego. Krytyka miała stać się źródłem rekonstrukcji. W artykule *Cztery dni, które wstrząsnęły Polską* Woroszylski pisał:

> Były to piękne dni. Kiedy 18, 19, 20, 21 października staliśmy w wielotysięcznym tłumie wiecujących robotników i studentów Warszawy, czuliśmy wręcz namacalnie, jak wyzwala się szlachetna energia społeczna, jak rośnie i dojrzewa siła, zdolna do rzeczy ogromnych [...]. Żaden z nas nie żałuje udziału w walce, której wynik przyniosły te cztery dni października. Nikomu też nie zależy na trwaniu w postawie opozycyjnej wówczas, kiedy znika polityczne i moralne uzasadnienie takiej postawy, kiedy budzi zaufanie zarówno skład nowego kierownictwa partii, jak i przedstawiony narodowi zarys programu. W nadal niełatwej sytuacji gospodarczej i politycznej nie uwierzymy w możliwość cudu (na szczęście zresztą nikt nas do tego nie namawia), ale z pełnym poczuciem współodpowiedzialności za to, co się dzieje, będziemy to kierownictwo i ten program popierali. Przyrzekamy mu szczerą i lojalną krytykę, poważną dyskusję, cierpliwość i pomoc. Oto zaczyna się piąty dzień rewolucji — dzień powszechni. [...] VIII Plenum wyłoniło nowe biuro polityczne, które mamy podstawy obdarzyć kredytem zaufania i aktywnym poparciem [18].

W październiku 1956 „pryszczaci" zostali przemianowani na „wściekłych". Przydomek wymyślił — główny od lat polemista, Żółkiewski, który na łamach założonej wkrótce „Polityki" wytykał zespołowi „Nowej Kultury" świeżo popełnione grzechy główne. Padały znów ważkie słowa — powoływano się na historię i moralność, kłócono zajadle i na serio.

> W „okres poprzedni" zaangażowani byli bardzo różni ludzie — i najgorsi, i najlepsi. Zależy, co się ma na myśli mówiąc o „poprzednim okresie", chciałbym to dobrze rozumieć. Zdaje mi się, że jednak najgroźniejsi są ci, którzy robią złe rzeczy bez ideowych pobudek czy z jakichkolwiek pobudek innych. Ideowość prawdziwa jest darem dość rzadkim i nie najbardziej deprawującym człowieka. Ideowość wymaga konsekwencji, pozwala odnaleźć się wobec każdego oczyszczonego kształtu idei, która była zbrudzona i sfałszowana, broni przed ześliźnięciem się na jałowy piasek cynizmu. Tak więc ludzie, o których mówię i z którymi wiele mnie łączy, choć i dzieli wiele, wzięli ideę socjalizmu w Polsce poważnie. Nic więc dziwnego, że stanęli bez reszty na froncie walki o to, czemu październik polski nadał szansę realności — o prawdziwy, ludzki, rzeczywisty socjalizm, o zgodność słowa i czynu, nazwy i rzeczy, o prostą, dostępną i sprawdzalną dla wszystkich jego treść. Za to otrzymali nową nazwę: „wściekli".

— żalił się Braun [19].

---

[18] W. Woroszylski, *Cztery dni, które wstrząsnęły Polską*. „Nowa Kultura", 1956, nr 44, z 28 X.

[19] A. Braun, *Świat, na którym żyjemy. Artykuły zebrane* [maszynopis].

Nie wszyscy jednak pasowali się w tych gorących dniach z przeszłością i wybiegali planami w przyszłość. Coraz większa część pokolenia zaczęła stopniowo „wracać do domu", przechodzić na pozycje walki już tylko o „małą stabilizację". Jedenaście lat wcześniej, w roku 1945, wszystko wydawało się jeszcze proste — „*tabula rasa*" świadomości „pokolenia" zapisana była tylko doświadczeniami wojny. Las, obóz, partyzantka, I Armia — stanowiły jedyną szkołę życia, kolebkę młodych „troglodytów", wyrwanych w 1939 r. z przeszłości, z tradycji kulturalnej.

Ich debiut właściwy przypadł na lata pierwszej męskiej dojrzałości i pierwszej zarazem próby, lata 1948—49—51. Potem, jakby zgodnie z Mannheimowską koncepcją „jednostki" pokoleniowej, która integruje się na gruncie wspólnych, jednoczących doświadczeń historycznych, spotkali się jeszcze raz, stanowili „zwartą grupę" w październiku 1956. Byli więc grupą czy pokoleniem? Sądzę, że byli jednym i drugim; reprezentatywną i najbardziej dynamiczną zarazem grupą pokolenia wojennego pisarzy, roczników dwudziestych, „jednostką pokoleniową", jak chciałby Mannheim, mniej lub bardziej aktywną w różnych okresach. Mieli program: rewolucji kulturalnej w pierwszych latach budowania Polski Ludowej, „marksizmu otwartego" w latach, kiedy ideologia socjalistyczna oczyszczała się ze schematycznej narośli stalinizmu. Program zaczynał się zawsze od buntu: innego niż obyczajowy protest angielskich angrymenów i amerykańskich beatników. Innego niż gesty francuskich egzystencjalistek spacerujących boso, w chłodny jesienny dzień, z papierosem w zębach po Saint-Germain-des-Prés.

Zamiast palić marihuanę jak ich amerykańscy prawie-rówieśnicy z książek Kerouaca czy Holmesa — protestowali przeciw mieszczańskiemu światu w gniewnym rytmie wiersza Majakowskiego. Zamiast rzucać się w wir orgii seksualnych, aby w ten sposób wyrazić nienawiść do „*squares*" — kwadratowych łbów rządzących światem, któremu grozi rzekomo nieuchronnie Atomowa Apokalipsa — polscy beatnicy, ci z pokolenia „pryszczatych", czytywali nocami *Kapitał* Marksa i *Dialektykę przyrody* Engelsa. Zamiast wreszcie organizować wieczory jazzowych melorecytacji i „uprawiać miłość" w pędzących samochodach — założyli pismo, uprawiali publicystykę, pisali książki.

Bunt pisarzy roczników dwudziestych wyrastał zawsze z konkretnych historyczno-politycznych przesłanek. W tym też psychologia tego pokolenia bliska była psychologii młodych pisarzy radzieckich, którzy wystartowali po XX Zjeździe KPZR — Jewtuszenki, Wozniesienskiego, Achmaduliny, Okudżawy i innych. Konkretnym adresatem sprzeciwu, krytyką konkretnych przejawów historycznego zła, świadomością polityczną i socjalistycznym samookreśleniem ideowym różnili się „prysz-

czaci" zasadniczo zarówno od „zbuntowanych" Amerykanów — Kerouaca, Ginsberga i Holmesa, jak i od angielskich „gniewnych ludzi" — Osborne'a, Pintera i Askera. To raczej — paradoksalnie — dwudziestolatki z grup literackich, które po nich przyszły, które zadebiutowały w okolicach roku 1956 — czerpały inspirację z egzystencjalistycznych manier bohaterów Saganki i Duras, odprysków francuskiej nowej fali. To raczej Iredyński i Stachura, Nowakowski i Brycht lub Czycz, stylizowali się w swych pierwszych książkach na Kerouacowskiego Deana Moriarty i demonstrowali nastroje buntu z ducha poematu Ginsberga *Wycie*.

Beatnicki styl „pryszczatych" był tak odmienny od beatnickiego stylu młodszych o kilka lat prozaików zgrupowanych w części wokół dwutygodnika „Współczesność", jak różniła się twórczość Jewtuszenki i Wozniesienskiego od twórczości np. Ferlinghettiego. Inna rzecz, że trudno tu mówić w ogóle o jakimś pokoleniu „Współczesności", sztucznie je integrując. Słusznie zauważył Błoński, że miało ono dwa skrzydła.

> To trędowate, o jakim przejmująco pisał Stanuch rozważając powieść Hiszpana Goytisolo, i to, które pragnęło jak najszybciej stanąć znowu na mocnym gruncie. Łączyło je jedno: marzenie o literackiej karierze [20].

Jeśli spróbujemy uważnie obserwować rozwój zdarzeń, okaże się, jak umowna jest tu granica generacji, podziały absolutyzujące datę urodzenia czy nawet daty debiutu. Tylko trochę doświadczeń z innego, „pozaerotycznego" kręgu, z innego, bardziej dorosłego podwórka, a „trędowate" skrzydło rzekomego „pokolenia" dwudziestolatków „doszlusuje" prawdopodobnie do dawnych „pryszczatych". Już dziś debiutanci *anno* 1956 prędzej przyznają się do Czeszki niż do Patkowskiego, do Słuckiego czy Herberta niż do Śliwonika; Grochowiaka łączy więcej z Różewiczem niż z Minkowskim i Leją. Za dziesięć lat będą starsi o nowy fragment wspólnej z dzisiejszymi trzydziestopięciolatkami biografii społecznej, bogatsi o nowy kawał historii socjalizmu w Polsce, o nową ilość lektur, których im dziś czasem nie dostaje. Za dziesięć lat różnice się zatrą. „Pryszczaci" i „Współczesność" zajmą obok siebie krzesła na tym samym podium, miejsce na tym samym szczeblu drabiny pokoleń.

*

Jedność postawy politycznej i estetycznej, wspólna świadomość warunkująca niegdyś wspólną biografię literacką pisarzy „powojennego rzutu" została w latach popaździernikowych naruszona nowymi próbami charakterów i postaw. Każdy decydował już indywidualnie,

---

[20] J. Błoński, *Zmiana warty*. Warszawa 1961, s. 89.

tylko za siebie, decydował coraz ostrożniej i coraz mniej zapalczywie. Dawny wspólny program różnicował się zależnie od nowych upodobań i sytuacji życiowych. Epizod estetyki żdanowowskiej, opartej na zwulgaryzowanej (i przystosowanej do administracyjnych dyrektyw) interpretacji poglądów Lukácsa na sztukę realistyczną i awangardową — został zamknięty raz na zawsze już w roku 1955. Nowe poetyki dopiero się kształtowały w oparciu o nowe doświadczenia i lektury, w oparciu jednak również o selekcję starych przeżyć.

Wprawdzie jeszcze w lutym 1955 Braun próbował najogólniej sformułować platformę dyskusji o „pokoleniu", ale były to już ostatnie zrywy dążenia do integracji, ujętego w ramy szczegółowych programów i artystycznych manifestów. „Pryszczaci" poszli do domu — zaczęli pisać książki. Jakie? — wykaże próba czasu. Po latach nauki rozpoczęli po prostu swoje lata pracy, powracając do porzuconej ongiś lekkomyślnie kochanki — literatury. Od roku 1956 minęło osiem lat. Dawni „pryszczaci", dawni „wściekli" mają dziś za sobą wybitne osiągnięcia w prozie, poezji, dramacie, filmie. Napisali swoje „Senniki współczesne", swoje „Treny", swoich „Boskich Juliuszów". Stworzyli swoje „Zaduszki". Wydali po kilka lub kilkanaście tomów wierszy czy prozy.

*

„Pokolenia przechodzą, a czas liczy się na nie" — pisał ongiś Norwid w pięknym wierszu.

Ileż to ostatnio zamętu z teoriami pokoleniowymi! W książce krytycznej *Zmiana warty* Błoński formułuje tezę o odrębności generacyjnej grupy pisarzy, którzy wystartowali w 1956 roku. Powieść *Pasierbowie* Putramenta wiąże zmiany polityczne zachodzące u nas w okresie ostatnich kilku lat ze zjawiskiem — jakby to nazwał wybitny socjolog Mannheim — „*fresh contact*", „świeżej wrażliwości" nowego pokolenia [21]. Aleksander Ścibor-Rylski w niedawnym opowiadaniu *Człowiek z marmuru* liczy na powściągliwość uczuć „młodych", na ich sceptycyzm wobec wielkich słów i uogólnień. Zapisano sterty papieru rozważaniami na temat pokolenia „Kolumbów" czy pokolenia „pryszczatych", pokolenia 56, ba — pokolenia „Hybryd". Każda grupa literacka przypina dziś odznaki pokoleniowej reprezentacji. Wystarczy dwóch pisarzy na krzyż, żeby zacząć teoretyzować na temat nowego oblicza generacji trzydziestolatków, dwudziestolatków czy czterdziestolatków.

Pisał kiedyś Zygmunt Bauman, że młodość albo starość mierzy się dziś w Polsce nie wiekiem, ale obiektywną pozycją społeczną, kwalifi-

---

[21] K. Mannheim, *Essays on Sociology of Knowledge*. London 1959, s. 327.

kacjami, stabilnością sytuacji pisarza, inżyniera, technika itd. [22]. Nikt nie nazwie młodym twórcą trzydziestokilkuletniego autora paru nagradzanych, wybijających się w naszej literaturze książek — Tadeusza Konwickiego. Hasła pokoleniowe nie są potrzebne do „podparcia" wartości *Rojstów* czy *Sennika współczesnego*. Można więc spokojnie uznać, że Konwicki „zestarzał się", zastrzegając jednocześnie „wieczną młodość" dla paru mniej udanych jego rówieśników.

Szumek pokoleniowy, koncepcje absolutyzujące datę urodzenia bądź datę debiutu służą „młodym" tylko do pewnego momentu: gdy niewygodna staje się grupowa etykietka obniżająca rangę utworu, wpychająca dobrą dorosłą powieść do „młodzieżowego" wydawnictwa, a dobry dorosły wiersz na wspólną młodzieżową kolumnę tygodnika.

Czy to znaczy, że w ogóle „nie ma" pokoleń, że w literaturze, w życiu społecznym nie istnieją „zmiany warty" jako zjawisko dynamizujące współczesny proces historyczny? Takie postawienie sprawy byłoby oczywiście absurdalne. Wszystkie nowoczesne teorie socjologiczne podkreślają wagę zmian pokoleniowych w rozwoju społeczeństw. Nietrudno też wyodrębnić współistniejące w tych społeczeństwach określone „jednostki pokoleniowe", nietrudno określić warunki, które doprowadzały do ich powstania. Warunki takie, jak wspólny typ doświadczeń, decydujący o wspólnej świadomości określonej grupy ludzi, która tworzy jednostkę pokoleniową; jak wspólne miejsce społeczne i wspólne uczestnictwo w aktualnych wydarzeniach i prądach politycznych, kulturowych czy innych; jak wreszcie — zbliżony wiek, warunkujący tylko zbliżone doświadczenie historyczne i wspólne cele.

A więc historia jednej grupy pokoleniowej — takiej jak np. akowscy „Kolumbowie" albo „pryszczaci", twórcy literatury produkcyjnej, a potem literatury obrachunkowej — musiałaby stać się z konieczności historią wojny i okupacji, historią powstania państwa ludowego, historią instytucji: Uniwersytetu Łódzkiego w pierwszych latach po wojnie, ZWM, ZMP, Warszawskiego Oddziału Związku Literatów, „Nowej Kultury" i „Poprostu" *etc., etc.* W miarę przybywania lat zacierają się stopniowo różnice między generacjami, zwłaszcza te w skali dziesięciolecia. Nowe „jednostki pokoleniowe" przyswajają sobie w skrócie doświadczenia bezpośrednich poprzedników i biorą wspólnie z nimi udział w dalszym „dzianiu się" historii. Rzeczywistą zmianę warty przynosi jedynie wielki przełom historyczny lub społeczny, w którym aktywne dawniej jednostki nie potrafią lub nie chcą wziąć już udziału. Wtedy dopiero, kiedy kończy się ich bezpośredni, aktywny udział we współczesnych procesach społecznych, odchodzą w przeszłość — ustępując miejsca innym.

---

[22] Z. Bauman, *Kariera*. Warszawa 1960, s. 106.

Jeśli przyjąć taki właśnie punkt widzenia w interpretacji przemian pokoleniowych w naszym świecie i zastosować tę interpretację do rozwoju procesów kulturowych w Polsce ostatnich lat, okaże się, że „pryszczaci" należą dziś do tej samej jednostki pokoleniowej, co nieco młodsi od nich pisarze trzydziesto—trzydziestopięcioletni, zgrupowani wokół aktualnie istniejących pism młodzieży literackiej, czy młodsi od nich, zgrupowani wokół „Polityki" lub „Sztandaru Młodych".

W naszej ponadto sytuacji — sytuacji kraju socjalistycznego — nie różnice wieku czy różnice pokoleń decydują o społecznej przydatności jednostek lub grup jednostek. Podziały przebiegają inaczej: wspólne doświadczenia historyczne, wspólne idee oraz wspólny program łączą ze sobą różne „grupy wieku", ludzi urodzonych w odległych od siebie rocznikach.

„Pokolenia przechodzą — mówi Norwid — a czas liczy się na nie", ale o obliczu historii współczesnej w naszym kraju nie decydują kolejne „biologiczne" zmiany warty. Decyduje aktywna praca i walka różnych, nieantagonistycznych jednostek pokoleniowych, które w pewnych okresach stanowią — zależnie od indywidualnej wartości swoich reprezentantów — mniej lub bardziej wysuniętą czołówkę ideologiczną w socjalistycznym układzie sił.

Taką silnie zarysowaną grupą ideologiczną w środowisku literackim — najpierw w niedobrych latach 1949—1953, a potem już w r. 1956, a więc dwukrotnie — stawali się „pryszczaci". Nie chcę bawić się w dość jałowe teoretyzowanie i rozważać, czy właściwszy byłby tu Mannheimowski termin „jednostka" lub „grupa pokoleniowa". Przypominam sobie podobne spory wśród historyków literatury, którzy zastanawiali się, kim byli np. filomaci czy filareci. „Pryszczaci" są faktem socjologicznym. Są faktem politycznym i literackim. Wystarczy wziąć do ręki jakikolwiek rocznik pisma z lat pięćdziesiątych, żeby to stwierdzić ponownie. Wystarczy sięgnąć pamięcią do wydarzeń okresu 1955—1957, żeby dostrzec, bez względu na ocenę ówczesnego życia literackiego, rolę „Nowej Kultury" z tego czasu lub też rolę „Poprostu". Dwa razy — raz w roku 1949, współtworząc epokę schematyzmu w kulturze, drugi raz epokę tę burząc ze szczególną pasją i nienawiścią — grupa młodych pisarzy, którzy dziś mają po 35—40 lat, wykazała szczególną aktywność. Oczywiście, pisarze ci działali tylko jako śrubka w trybach potężnej maszyny, ale nie zapominajmy w epoce motoryzacji o roli najmniejszych nawet śrubek. Zwłaszcza że śrubka raz tylko była śrubką, a potem stała się — odwrotnie — solidnymi obcęgami.

„Pryszczaci" nie działali w próżni. Byli literacką formacją pokolenia młodych robotników, inżynierów, inteligentów. Byli jednak — jako pisarze — wysuniętą czołówką ideologiczną, której czyny i słowa pro-

mieniowały na całą generację. Mieli najpełniejszą, najbardziej afirmatywną, poniekąd „modelową" świadomość ówczesnych programów. Cóż stąd, że łączyli się w tej świadomości z innymi pisarzami lub krytykami owych lat — starszymi wiekiem. Wcześniej i z większą pewnością od Ważyka czy nawet Kierczyńskiej ruszyli na podbój literatury pod transparentami żdanowizmu. Poszli z nimi, nieco później, po „oficjalnym przełomie", znacznie starsi i zazwyczaj wybitniejsi pisarze, krytycy, publicyści: wspominani już Ważyk, Kierczyńska, Siekierska, Hoffman, Kazimierz Brandys czy Andrzejewski, zresztą niemal wszyscy inni — na krócej lub dłużej.

W okresie tym, w pamiętnych latach 1949—1953, „bunt" młodych gniewnych z Łodzi z 1945 r. stał się już pustym pojęciem mobilizacyjnym, „odgórnie" zalegalizowanym mitem, wchłoniętym przez ideologię. Znamienna jest perwersyjność socjalna tego terminu, którym posługiwano się wciąż tak chętnie dla nadania znamion rewolucji okresowi po tylekroć rewolucję wypaczającemu. Był to właśnie ów rzekomy nonkonformizm — obiektywnie pokrywający się z konformizmem. Był to „bunt" tylko z nazwy — sterujący w istocie w kierunku ślepego posłuszeństwa.

Legalność „buntu" została zachwiana w latach 1954—1956. „Pryszczaci", szczególnie aktywni w utwierdzaniu ładu lat pięćdziesiątych, poczuli się zranieni i oszukani w dawnych programowych złudzeniach, ze szczególną pasją zaczęli więc te złudzenia obalać. Był już buntem, tym razem autentycznym, bez oficjalnego namaszczenia, *Pamiętnik uczennicy* opublikowany przez Konwickiego w słynnym numerze „Nowej Kultury". W sukurs „buntownikom" przyszły wydarzenia w ZSRR i analogiczne teksty ogłaszane nieco później w prasie radzieckiej, zrywające w podobny sposób gęste zasłony z prawdziwej twarzy młodych.

„Pokolenie" i tym razem nie było samotne — reprezentowało szerszy krąg doświadczeń, którym „pryszczaci" nadawali jednak imiona znacznie ostrzejsze i bardziej jednoznaczne, niż robili to ich starsi i wybitniejsi przecież koledzy po piórze.

Kiedy Brandys pisał *Obywateli* czy Andrzejewski *Zadufki*, obaj byli znakomitszymi reprezentantami realizmu socjalistycznego niż autorzy *Wiosny sześciolatki*. Kiedy w 1955 r. powstawała *Obrona Grenady*, a potem *Matka Królów*, a potem świetna powieść obrachunkowa Wygodzkiego, wszystkie te utwory przewyższały znacznie *Piekło wybrukowane, Czarne ściany* czy *Okrutną gwiazdę*. Twórczość „pryszczatych" była jednak poniekąd „modelowa" dla dwóch nurtów literatury, które w dwudziestoleciu powojennym odegrały rolę dość istotną: socrealistycznej prozy i poezji lat pięćdziesiątych oraz literatury obrachunkowej, która zaczęła powstawać w okresie 1955—1958. Jeszcze do r. 1958

dawni „pryszczaci" występowali jako grupa ludzi odpowiadająca w swojej twórczości na podobne, a często te same problemy, ludzi o zbliżonej subiektywnie świadomości politycznej i zbliżonej — już obiektywnie — funkcji społecznej, twórców o podobnej metryce, ale również podobnej ideologii artystycznej, ba — poetyce.

Grupa ta wystartowała na fali nie tylko pokoleniowej zmiany warty, lecz przede wszystkim na fali przewrotu politycznego, który dokonał się w Polsce lat 1944—1945. On właśnie, doświadczenia rewolucji były wspólną bazą integrującą nowe jednostki pokoleniowe. W tym wstępnym bardzo studium próbowałam pokazać przedstawicieli „jednostki", która zespalała się towarzysząc losom polskiej drogi rewolucyjnej. Próbowałam zarysować niektóre problemy ogólne, wymagające zapewne socjologicznego rozwinięcia: takie jak charakter instytucji czy organizacji, które były szkołą politycznego myślenia ocalonych „Kolumbów", ideowo-literackie spory, które legły u podstaw wspólnego programu, polityczne momenty, które zadecydowały o przesłankach indywidualnej i grupowej ewolucji.

Szkic ten jest, oczywiście, ledwie zarysem problemu, wstępnym skatalogowaniem informacji o pisarzach, których działalność i utwory budziły, a także budzą do dziś, różne sprzeczne namiętności. Moja wizja „pryszczatych" nie jest ani beatyfikacją, ani pamfletem. Jeśli nie we wszystkim udało mi się zachować konieczny dystans „kronikarza", wynika to z faktu, że sprawy, o których piszę, są jeszcze bardzo świeże, aktualne. Wiele z nich uzyska właściwe oświetlenie dopiero po latach, niektóre — z przyczyn obiektywnych — nie nadają się dziś, w roku 1964, do rozważań li tylko „historycznych".

Studium o grupie ludzi tak szczególnych, o grupie pisarzy mianowicie, musi też z konieczności przyjmować literaturę jako główny układ odniesienia niniejszych rozważań. Dlatego w każdym rozwinięciu monograficznym najwięcej uwagi poświęcić trzeba będzie latom ostatnim w biografii naszych bohaterów. One bowiem, lata 1959—1964, okres indywidualnych już zmagań i poczynań reprezentantów „pokolenia", wydały najwybitniejsze utwory literackie, które usprawiedliwiają ostatecznie trud podjęcia tematu. Aby jednak zrozumieć, jak możliwe są dziś te osiągnięcia pod piórami autorów *Trenu, Sennika współczesnego, Boskiego Juliusza, Snów pod śniegiem, Zdobycia nieba,* nieco wcześniejszych *Kolumbów, Family of Man, Mitów na wiosnę* itd., itd., trzeba sięgnąć do okresu ich genezy. Tą genezą — pamiętajmy — były zarówno *Pokolenie* czy *Wiosna sześciolatki,* jak i prymitywne jeszcze *Piekło wybrukowane* lub publicystyka z lat 1955—1957. Synteza dokonuje się dopiero dziś. Synteza — twórczość zaangażowana, pogłębiona intelektualnie, ambitna w środkach artystycznego wyrazu.